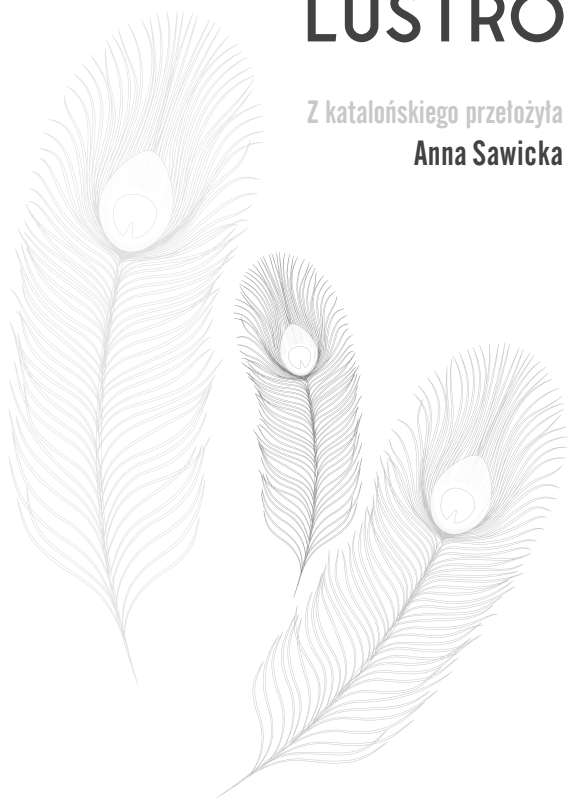


MERCÉ

RODDOREDA

# ROZBITE LUSTRO

Z katalońskiego przełożyła  
Anna Sawicka



MARGINESY

This book was translated with the help  
of a grant from the Institut Ramon Llull



*Mirall trencat*

COPYRIGHT © Institut d'Estudis Catalans

Published by agreement with Casanovas & Lynch Literary Agency,  
Spain and Book/lab Literary Agency, Poland.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY  
Anna Sawicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY  
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

*Un roman: c'est un miroir qu'on promène  
le long du chemin.*

SAINT-RÉAL

CZĘŚĆ PIERWSZA

*I honour you, Eliza, for keeping secret  
some things.*

STERNE

## I

### *(Cenny klejnot)*

Vicenç pomógł panu Nicolau wsiąść do powozu. „Tak, szanowny panie, jak pan każe”. Następnie wsiadła pani Teresa. Zawsze w tej kolejności, najpierw on, potem ona, bo przy wysiadaniu musieli go podtrzymywać oboje. Operacja nie była łatwa, a z panem Nicolau należało się obchodzić bardzo troskliwie. Wjechali w ulicę Fontanel-la, a na wysokości alei Portal de l'Àngel skręcili w prawo. Konie biegły truchtem, a czerwono-czarne, świeżo lakierowane koła toczyły się lekko w górę alei Passeig de Gràcia. Pan Nicolau chwalił się wszystkim, jakim skarbem jest Vicenç i że gdyby go nie miał, sprzedałby berlinkę, bo nie zaufałby żadnemu innemu woźnicy. A że pan Nicolau miał szeroki gest, Vicenç czerpał z tego zaufania duże korzyści. Dzień wstał pochmurny; od czasu do czasu między dwiema chmurami na moment pojawiał się blady promień słońca. Wszyscy, to znaczy służba i garstka przyjaciół, wiedzieli, że pan Nicolau chce zrobić prezent pani Teresie, bo kiedy obchodzili półrocze ślubu, podarował jej japońską szafę z czarnej laki z misternymi inkrustacjami z masy perłowej i złota, która nie wzbudziła jej entuzjazmu. Przeżył rozczarowanie: „Cóż, widzę, że nie trafiłem, a dałem za nią majątek; ale skoro mnie się podoba, zatrzymam ją dla siebie, a tobie

podaruję coś, co ci sprawi większą przyjemność”. Przed sklepem jubilera Begú Vicenç zatrzymał konie, zsunął się z kozła, odłożył cylinder na siedzenie i patrzył, jak pani Teresa otwiera drzwiczki i wyskakuje zręcznie jak łania. Wspólnym wysiłkiem wyciągnęli pana Nicolau z powozu – „z mojej szafy”, jak go nazywał. Stał nieruchomo na środku chodnika, bo kiedy wysiadał, potrzebował czasu, żeby się wyprostować, spozrzał dwa–trzy razy na prawo i lewo, nie poruszając głową, jakby nie wiedział, co ma robić. W końcu wziął żonę pod rękę i powolutku weszli oboje do sklepu jubilera.

Jako że chcieli rozmawiać osobiście z panem Begú, jeden z subiektów zaprowadził ich do gabinetu. Pan Begú, postawny mężczyzna z jasną cerą, krótko przyciętymi włosami i gęstymi brwiami, zawołał, podnosząc się: „Jakież to dobre wiatry państwa przyniosły?”. Dawno do niego nie zaglądali, zauważył, że pan Rovira bardzo się postarzał: musiał źle znosić małżeńskie emocje. Pan Rovira od razu przeszedł do rzeczy: „Chciałbym, żeby pokazał nam pan klejnot, ale klejnot godny tej nazwy”. Usiadł w fotelu z prostym oparciem, idealnym dla jego pleców, i pomyślał, że musi sobie zamówić dwa takie same. Teresa skupiła wzrok na paznokciach jubilera: nieskazitelne, starannie obcięte, błyszczące. Przyglądała mu się ukradkiem: musiał mieć dobre pięćdziesiąt lat, ale wyglądał, jakby dopiero co skończył czterdzieści, wyprostowany, elegancki, w ciemnym garniturze w prążki, z szarą perłą w krawacie. Podniósł obiema dłońmi ołówki i spoglądał na nich z uśmiechem: „Jakiego rodzaju klejnotu państwo

szukają?”. Pan Nicolau spojrział na Teresę, a ona zasugerowała, że mogłaby to być broszka. Kolczyki już miała, pierścionek też, bransoletki nie lubiła... Pan Begú pociągnął za sznurek i kazał przynieść pudełka z zapinkami, wszystkie. Skierował wzrok na Teresę, później spojrział na pana Nicolau, tak że ten aż się zmieszał. Znał całą historię: że pan Rovira na starość ożenił się z dziewczyną bardzo niskiego pochodzenia i nie wiadomo, co się kryło za tymi oczami, patrzącymi tak niewinnie, i za tą urodą. „Takie małżeństwa czasem się udają – pomyślał – ale lepiej nie sprawdzać”. Nie wiedział, o czym z nimi rozmawiać. Pan Nicolau zakaszłał parę razy, jakby zaraz miał umrzeć; chyba cierpiał, biedaczek, na silny bronchit. „Nadmiar tytoniu i alkoholu”. Kiedy pojawił się subiekt, poczuł prawdziwą ulgę. Pudełko otwarte w pierwszej kolejności wypełniały zwykłe szpilki i pan Nicolau, prawie nie zaglądając do środka, kazał je zamknąć. Chciał czegoś naprawdę cennego. Pan Begú otwierał kolejne pudełka, uśmiechał się z satysfakcją i wpatrywał uważnie w pana Nicolau i jego żonę. Teresa, która cały czas zachowywała spokój, nagle wychyliła się do przodu i sięgnęła po okrągłą broszkę z rubinów otoczonych dwoma kręgami diamentów. Chociaż broszka dobrze się prezentowała, mąż wyjął ją, zde gustowany, z jej palców i odłożył na stół. Wtedy pan Begú podszedł do stosu pudełek i z jednego z nich wyciągnął czarne aksamitne etui. „To najlepszy klejnot w naszej firmie”, oświadczył, gładząc palcem brylantowy bukiet kwiatów wielkości dłoni. Teresa straciła oddech i kręciła głową to w jedną, to w drugą stronę, jak-

by to, co zobaczyła, było snem, a ona próbowała się obudzić. Pan Nicolau wyjął broszkę z etui i ważył ją w dłoni. „Nie wydaje ci się, że to nadmierny zbytek?” westchnęła Teresa, szczęśliwa. Zamiast odpowiedzi, głosem lekko schrypniętym poprosił jubilera, żeby był łaskaw przypiąć tę broszkę w klapę żakietu jego małżonki. Następnie, kiedy Teresa podziwiała swoje odbicie w lustrze jednej z witryn, pan Nicolau z niezmaconym spokojem zaczął przeliczać plik banknotów, które następnie układał w największym porządku na stole. Pan Begú odprowadził ich do drzwi, myśląc: „Ależ on się musiał dorobić na giełdzie!”. Zanim mu podał rękę na pożegnanie, pan Nicolau zapytał, gdzie kupił ten fotel z prostym oparciem. „Na ulicy De la Palla, u antykwariusza”. Pan Nicolau podziękował, a jubiler życzył im obojgu, żeby przez wiele lat mogli cieszyć się z nabytku. Wsiadając do powozu, Teresa pomyślała, że ten klejnot wybawi ją z opresji.

Minęły dwa czy trzy tygodnie i pewnego dnia Teresa wczesnym rankiem wyszła z domu. Mężowi od paru dni dokuczało silne przeziębienie. Wyjaśniła, że idzie do modystki i że obejdzie się bez powozu, bo ma ochotę się przejść, odetchnąć świeżym powietrzem: spędziła dwa dni w zamknięciu, w otoczeniu mikrobów i zapachu eukaliptusa. Czy może przypiąć broszkę? Chciała zobaczyć, jak modystce zbieleje oko. Ta brosza, zdaniem pana Begú, mogła przyciągnąć wzrok każdego mężczyzny. „Ludzie nas zobaczą i nie pomyślą: cóż to za szykowna pani! tylko: cóż za wytworny pan!”. A on,



leżąc w łóżku, uśmiechnął się blado. Teresa to jego perła. Wypatrzył ją z tarasu opery Liceu, jak szła pod rękę z jakąś przyjaciółką. Matka Teresy miała stragan rybny na targowisku Boqueria. Któregoś dnia, gdy przechodziła tamtędy sama, on najpierw przez chwilę za nią podążał, a potem zapytał, czy może jej towarzyszyć, i od razu wyłożył swoje zamiary. Widywali się od czasu do czasu, a tej samej zimy matka Teresy zmarła. Nie minął jeszcze miesiąc od pogrzebu, kiedy pan Nicolau zapytał Teresę, czy zechce go poślubić: mógł jej zaoferować tylko swój majątek; doskonale zdawał sobie sprawę, że jest stary i że żadna dziewczyna go nie pokocha. Teresa obiecała, że się zastanowi. Ciężył jej poważny problem: jedenastomiesięczny syn, owoc życiowej pomyłki, wielkiej jak kamienica. Ojciec dziecka, Miquel Masdéu, żonaty, utrzymywał się między innymi z zapalania i gaszenia ulicznych latarni, a mimo to kobiety za nim szalały. Kiedy pan Nicolau poprosił ją o rękę, Teresa umieściła dziecko u ciotki i po paru dniach oświadczyła, że się zgadza. „A rybny stragan niech лихо porwie!” Wydawało się, że od tamtych wydarzeń minęło dużo czasu, a tak naprawdę wcale nie tak wiele... Dzień wstał uroczy, słońce do zakochania. Teresa poruszała się tak szybko, jakby miała skrzydła u ramion. Po chwili weszła w bramę, ściągnęła broszkę i schowała ją w portmonetce. Denerwowała się. Powoli przecięła plac Catalunya. Jeśli nie opanuje nerwów, nie uda się jej załatwić tego, co zamierzała. Musiała to zrobić. Jej mąż, gotów wydać fortunę, żeby ją ustroić, pieniądze jej wydzielał oszczędnie: zaraz się

zorientuje, jak szybko topnieją. Ale najbardziej martwiła się podeszłym wiekiem cioci Adeli, która mogła umrzeć znienacka, i co wtedy? Na alei Passeig de Gràcia miały nielicznych przechodniów. W jednym z okien wystawowych sklepu jubilera pysznił się naszyjnik z trzech sznurów pereł w szarym odcieniu, jak perła w krawacie pana Begú. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Sklep tonął w półmroku; musiało być bardzo wcześnie. Ten młodzieniec, który poprzednio przynosił pudełko, rozpoznał ją i powitał z uśmiechem. „Dobrze się składa, pan Begú właśnie przyszedł”. Pan Begú musiał ją zauważyć zza firanki i natychmiast się pojawił. „Co za zaszczyt, pani Roviro, będzie pani łaskawa?” Teresa popatrzyła na niego z mieszaniną ciekawości i niepokoju i weszła do gabinetu. Na stole stała lampa z zielonym abażurem, który przyciemniał jej blask. Tym lepiej, poczuła się bezpieczniej. Od razu przeszła do rzeczy. Wyciągnęła broszkę z brylantami z torebki i położyła obok lampy. „Pewnie pomyśli, że odkleił mi się brylant i przychodzę z reklamacją”. Jako że Teresa się nie odzywała, pan Begú sam zapytał, czy coś się nie zgadza. „Zepsuła się gałązka wiązanki?” „Nie; przyszedłam pana prosić, żeby pan ją ode mnie odkupił”. Pan Begú wstał, podszedł do jednej z witryn, obrócił się i znowu usiadł. Pojął, że to delikatna sprawa; nie wiedział, od czego zacząć. „Chciałbym panią o coś zapytać, ale nie mam odwagi... Nie mam najmniejszego zamiaru pani urazić”. Znow wstał, przeciągnął ręką po włosach i w końcu się zdecydował: „Czy pani mąż o tym wie?”. Teresa szybko odparła: „Nie”. I po-

syłając mu słodkie spojrzenie, dodała: „Mój mąż nie wie i nie powinien nigdy się dowiedzieć”. Zależało jej na tym, by on, pan Begú, odkupił od niej broszkę, oczywiście za cenę niższą, niż za nią otrzymał. Pan Begú potarł policzek i patrzył na nią przez chwilę, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi. Teresa wyjaśniła, że potrzebuje pieniędzy. „Pan i ja zawrzemy umowę: musi mi pan obiecać, że nie wystawi tego klejnotu ani go nie sprzeda, przez, powiedzmy, dwa–trzy miesiące, a gdyby pan go sprzedał, przedtem narysuje pan kopię”. Pan Begú uśmiechnął się złośliwie, a Teresa dodała: „Czy będzie panu odpowiadać kwota w wysokości dwóch trzecich tego, co zapłacił panu mój mąż? Nie mogę tego panu obiecać, ale jest bardzo prawdopodobne, że znów ją od pana kupimy”. Pan Begú przestał się uśmiechać i sięgnął po książeczkę czekową. Teresa powstrzymała go gestem ręki: „Nie, tylko nie czek”. Pan Begú obrzucił ją spojrzeniem współnika: „Gdyby nie to, że wczoraj wieczorem nie zdążyłem pójść do banku, teraz musiałbym panią prosić o ponowne przyjęcie”. Otworzył kasę i wyciągnął z niej plik banknotów. „Zechce pani przeliczyć?” „Nie, zdaję się na pana”. Wtedy pan Begú, który wręczając jej banknoty, lekko dotknął jej dłoni opuszkami palców, włożył klejnot do szuflady stołu. Teresa wstała, a on ostrożnie wziął ją pod rękę. „Zobaczmy się jeszcze?” Idąc przez sklep, odpowiedziała spokojnym głosem: „To niemal pewne”.

Zaciskając palce na zapięciu torebki, ruszyła w stronę postaju powozów. Kiedy dotarła do domu ciotki Adeli, od

sąsiadki, która właśnie zamiatała schody, dowiedziała się, że tam nikogo nie ma, ale pani Adela szybko wróci. Jeśli chce, może na nią poczekać... Ciotka Adela wkrótce się pojawiła, ledwie żywa, z koszem w ręce i śpiącym niemowlęciem w ramionach. Położyły dziecko w łóżeczku i przeszły do jadalni. Teresa wyjaśniła jej w dwóch słowach, co ma zrobić: zawiadomić Miquela i dać mu te pieniądze. Wyciągnęła z portmonetki plik banknotów i podzieliła na dwoje. „Miquel zajmie się chłopcem, już się dogadaliśmy; jego żona się zgadza”. Nie wiedziała, oczywiście, że to jego dziecko. Miquel zmyślił bardzo smutną historię, bardzo zawiłą, a ponieważ oni sami nie mogli mieć dzieci, zdołał ją przekonać. Drugą połowę dostanie, gdy dziecko zostanie ochrzczone. „Ja będę jego chrzestną, w ten sposób będzie mógł mnie odwiedzać, jak urośnie, a ja się o niego zatroszczę: nie chcę, żeby mój syn tułał się po świecie”. Ciotka Adela, ze zdumioną miną, na wszystko mówiła tak. „Te pieniądze sprawią, że Miquelowi i jego żonie będzie trochę łatwiej”. Jasne, że Miquel źle ją potraktował, a kiedy zaczął się do niej zalecać, nie przyznał się, że jest żonaty, ale ona nie chowa urazy, bo była w nim zakochana. Ciotka Adela uspokoiła ją, żeby się nie martwiła, bo ona robi wszystko, co w jej mocy. „Chcesz popatrzeć, jak śpi?” Chłopiec spał jak aniołek. Teresie nie bardzo się podobał, bo uważała, że ma nieco zadarty nosek, podobnie jak ona, a chociaż swój własny lubiła, to nosek chłopca wydał się jej brzydki. Utuliła go. „Muszę iść, ciociu, bardzo się spieszę”. Już w drzwiach wręczyła jej pieniądze: „To dla cioci”, i obiecała, że nigdy jej niczego nie zabraknie.

Rozejrzała się za apteką blisko domu modystki, bo najpierw czekała ją przymiarka. Zobaczyła jedną na rogu. Jak tylko weszła do modystki, poprosiła pomocnice, żeby szybko się uwinęły, bo jej słabo. Pół godziny później, kiedy schodziła po schodach, zauważyła, że drżą jej ręce. Zatrzymała się na chodniku. „Przy odrobinie szczęścia powinno się udać”, pomyślała i osunęła się na ziemię, przytrzymując się ściany. Natychmiast otoczyło ją kilka osób i jakiś mężczyzna pomógł jej się podnieść. W aptece dali jej do powąchania buteleczkę; wyjaśniła, że zakręciło się jej w głowie: niedawno wyszła za mąż. Aptekarz się uśmiechnął i przygotował lekarstwo: „Proszę zażywać szczyptę na łyżeczce wody co dwie godziny”. Mężczyzna, który wcześniej jej pomógł, poszedł szukać powozu. „Jeśli nie ma pani nic przeciw temu, będę pani towarzyszył”. „Będę panu bardzo wdzięczna”. Portierka widziała, jak przyjechali, dokładnie tak jak Teresa sobie zaplanowała, i pomogła jej wejść po schodach. Felicia otworzyła drzwi. „Jeśli pan będzie o mnie pytał, powiedzcie mu, że wróciłam zmęczona, nie czuję się najlepiej”. Natychmiast położyła się do łóżka. Wieczorem Felicia zaniósła jej szklankę mleka i powiadomiła, że pan wciąż bardzo chory, ale gdy się dowiedział, że i ona musiała się położyć, wysłał po lekarza. Teresa się złękła, ale obeszło się bez wielkiego udawania: miała przyspieszony puls i parę kresek gorączki.

Uderzyła w lament dopiero późnym wieczorem. Felicia usłyszała dzwonek z pokoju pani, gdy już prawie zasypiała. Włożyła szlafrok, a jak tylko otworzyła drzwi, pani sto-

jąca przed toaletką, z włosami w nieładzie, z zaczerwienionymi oczami, zapytała ją, czy przy zdejmowaniu sukni odpięła od niej broszkę. Felícia z całkowitym spokojem zapytała: „Jaką broszkę?”. „A jaką Felícia by chciała? Tę z brylantami”. Felícia odparła, że nie, broszki nie widziała. Zabrała suknię, starannie ją wyczyściła szczotką, a ponieważ zostały ślady błota, na koniec zaniósła ją do farbiarni; ale może pani być pewna, że na sukni nie było nic. Teresa zakryła oczy chusteczką i wybuchnęła płaczem. Następnego dnia wczesnym rankiem Felícia poszła zapytać, czy znaleziono broszkę na sukni pani Roviry. Dziewczyna z farbiarni zapewniała, że nie, że zawsze zanim przystąpi do czyszczenia sukien, najpierw dokładnie je ogląda, by sprawdzić, czy coś na nich nie zostało. „Musiał mi ją ktoś zabrać, kiedy upadłam – jęknęła Teresa, zdesperowana. – Wolałabym umrzeć”. Felícia powtórzyła to Vicençowi, Vicenç portierce, portierka sklepikarzowi, a kucharka, gdy poszła prosić pana Nicolau o swoją tygodniówkę, wygadała się, że pani zgubiła brylantową broszkę, wychodząc od modystki, i że mało nie oszalała z rozpacz. Pan Nicolau, któremu przeziębienie już mijało, poszedł do Teresy i zobaczył jej twarz bladą jak u nieboszczyka, bo przez całą noc nie zmrużyła oka i od ciągłego powtarzania, że jest chora, już naprawdę źle się czuła i nabrała przekonania, że straciła broszkę. Pan Nicolau, siedząc na brzegu jej łóżka, zapytał, czemu nie okazała mu zaufania i nie wyznała wszystkiego od razu, a Teresa ledwie słyszalnym głosem szepnęła, że ktoś musiał ją okraść, jak zemdląca, i on nie może sobie nawet wyobrazić, jak

strasznie cierpi, jakby znalazła się w piekle, nie tyle ze względu na wartość broszki, która kosztowała majątek, ile dlatego, że dostała ją od niego, w dowód miłości. I rozplakała się z głową wciśniętą w poduszkę. Pan Rovira, trzymając ją za rękę, mówił, że bardzo mu przykro, oczywiście, ale nie chce patrzeć na jej smutek i że szybko znajdzie jakieś lekarstwo.

Jak już wróciła do zdrowia i nieco zaróżowiły się jej policzki, bo naprawdę bardzo to przeżyła, któregoś ranka wsiadli do powozu. Najpierw wsiadł pan Nicolau, z pomocą Vicença, bo sędziwy wiek i drętwota utrudniały mu wsiadanie do tej „szafy”. Potem wsiadła pani Teresa. Pan Begú, kiedy ich zobaczył, musiał bardzo się starać, żeby zachować powagę. Teresa wyjaśniła mu problem z broszką i pan Nicolau, nie dając jej skończyć, zapytał, czy mają drugą taką samą. „Nie, nie mam takiej samej, to był unikalny klejnot, ale mam jej szkic, więc jeżeli państwo sobie życzą, mogę ją odtworzyć. Najtrudniej będzie znaleźć brylanty tak doskonałe jak te, które się znajdowały w sercu kwiatów, ale dokonam niemożliwego, zapewniam państwa”. I po paru miesiącach wrócili do jubilera. Pan Begú wyciągnął z sejfów etui w kolorze fioletowym z białą jedwabną podszewką i otworzył je na stole. Pan Rovira wręczył jubilerowi plik banknotów, a ten, usatysfakcjonowany, przyczepiając broszkę do sukni pani Roviry, stwierdził, patrząc jej w oczy: „Nikt by nie powiedział, że to nie ta sama”.

Tej wiosny Teresa Goday de Rovira została chrzestną trochę już podrośniętego chłopczyka, który, biedaczek,

stracił matkę zaraz po tym, jak w szpitalu wydała go na świat. Wyjaśniła mężowi, że Miquel Masdóu to robotnik i że poznała go w dzieciństwie. Masdóu jest kuzynem tej matki, której przydarzyła się owa wpadka, i kiedy dziecko zostało samo, Masdóu, który nie miał dzieci ze swoją żoną, postanowił je przygarnąć. Co za historia. „Zacni ludzie!”, westchnął pan Rovira, który nie miał ochoty towarzyszyć Teresie podczas chrzcin. W kącie zakrystii Miquel Masdóu ze łzami w oczach uściśnął rękę Teresy: „Dziękuję: życzę ci szczęścia i niech Bóg ci to wynagrodzi”. I spojrzał niemal oślepiiony, bo w płomieniach świec brylanty bardzo świeciły, na wiązanek szlachetnych kamieni, które Teresa, żona bogatego starca, miała przypięte z lewej strony sukni.

## II

(*Bàrbara*)

Salvador Valldaura przymknął oczy, a skrzypce podjęły pierwszy temat z części allegro con brio. Słuchał w skupieniu, otoczony tymi falami, które go wprawiały w stan egzaltacji i zapierały dech w piersi. Kiedy po trzech akordach orkiestry fortepian powracał do wstępnej frazy, otworzył oczy. Na scenie, wśród pierwszych skrzypiec, siedziała dziewczyna, której u dołu, spod spódnicy, wystawał odpruty brzeżek koronkowej falbany. Ten niesamowity szczegół tak go rozstroił, że przez chwilę przestał wsłuchiwać się w muzykę. Ponownie zamknął



oczy i spróbował się skupić. Fortepian podjął drugi temat, przekazał go orkiestrze i znów go przejął, teraz z większą mocą. Ale wszystko na próżno. „Tak to jest pozwolić grać na skrzypcach dziewczynie...” Czemu tego nie zauważył od razu? Zanim koncert się rozpoczął, skupił się na lekturze programu, a później, gdy zapadła cisza i orkiestra zaatakowała pierwsze nuty, ledwo zwrócił uwagę na jej ramię i jej smyczek pośród innych. Oburzyło go to niewybaczalne niechlujstwo, które zepsuło mu najlepszą część wieczoru. Nagle poczuł, że serce mu się ściska, i przyjrzał się jej z większą uwagą: dziewczyna z falbaną to ta sama skrzypaczka, która pięć czy sześć miesięcy temu grała na koncercie alumnów konserwatorium w Salzburgu. Szczupła, jasna jak złota nić, jasnooka, z włosami zaczesanymi do góry, z dwoma czy trzema puklami spływającymi na kark. Nie spuszczał z niej oka przez cały wieczór, a później często ją wspominał, tak ulotną i tak delikatną, że przykro sobie wyobrazić, jak okrutnie mogłoby ją potraktować życie. Chciał o niej pogadać z Quimem, ale wybrał najgorszą osobę i najgorszy moment, ponieważ Joaquim Bergadà, jego towarzysz, właśnie podbił serce żony angielskiego *attaché* handlowego, znaną z zamiłowania do romansów, i słuchał go jednym uchem. „Ach tak? Uważaj, takie dziewczyny tylko polują na naiwnych”, i zmienił temat. Vallaura przysiągł sobie, że nigdy więcej nikomu o tym nie wspomni. Musiała być wiedenką; w żadnym miejscu na świecie nie widział równie delikatnych dziewcząt, na dodatek z tak uroczym profilem. Był pewny, że już nigdy jej nie zobaczy, a tu miał ją w zasięgu

ręki. Słuchał, niczym westchnienia, ostatnich nut kadencji, gdy wszystko omdlewało w tym trudnym do zniesienia finale. Kotły wtórowały fortepianowi. Znów zamknął oczy, ale daremnie: nadal ją widział z pochyloną głową, ze zrośniętymi brwiami, jak w Salzburgu, i wydawało mu się, że dźwięk skrzypiec, fortepianu i fletów rozbrzmiewa w oddali, coraz dalej.

Przez wiele lat, ilekroć Salvador Valldaura usłyszy trzeci koncert fortepianowy Beethovena, pomyśli o tamtym wieczorze. Wyszedł ze wszystkimi i szedł przez jakiś czas, nie wiedząc, dokąd zmierza. Chłód na zewnątrz sprawiał, że nieliczni przechodnie przemierzali ulice w pośpiechu. Miał wrażenie, że wszystko się zmieniło i już nigdy nie będzie takie jak dotąd. A zobaczył ją dopiero dwa tygodnie później, też w niedzielę: inaczej się uczesała, z przedziałkiem na środku i lokami związanymi czarną wstążką; nie mógł dostrzec jej oczu, ale czoło, bielusienkie, było subtelnie wysklepione. Kiedy nie grała, nadal miała spuszczoną głowę, zamyślona i pogodna.

Gdy nazajutrz Valldaura zaprosił Quima do restauracji, bez przerwy mówił o dziewczynie z Salzburga. Quim spojrzał na niego z uśmiechem. „Mówisz o tej panie, która czasami bierze udział w niedzielnych koncertach. Jasne, że ją znam! To krewna jednego z moich znajomych. Nazywa się Bàrbara coś tam. Bywa, że po południu przychodzi na podwieczorek do Dehmela; mieszka tuż za ambasadą. Doniczki na balkonikach, małe szkiełka w oknach... Czego więcej można chcieć! Któregoś dnia was sobie przedstawię”.

Kiedy Joaquim Bergadà i Salvador Valldaura weszli do Dehmela, Bàrbara i jej kuzyn już na nich czekali. Siedzieli w salce w głębi przy stoliku z czarnego marmuru. Panował tłok. Bàrbara podniosła rękę, jak tylko ich dostrzegła: w płaszczu z futrzanym kołnierzem, z bliska, wydała się Valldaurze jeszcze ładniejsza. Quimet ich sobie przedstawił. Podeszła stara kelnerka w jasnoniebieskim uniformie i fartuchu wiązonym na karku. Spędzili razem zaledwie pół godziny. Przez cały ten czas Bàrbara prawie się nie odzywała. Słuchała z uwagą opowieści swojego kuzyna, mężczyzny w średnim wieku, rumianego na twarzy, który rozprawiał z Quimem o muzyce; chwilami sprawiała wrażenie rozkojarzonej, jakby gdzieś odpłynęła myślami. Valldaura niewiele miał do powiedzenia, ale wykorzystując chwilę, gdy pozostali zamilkli, przyznał się, że Wiedeń bardzo mu się podoba. „Tak? Mnie też się podoba, ale to pewnie dlatego, że tu się urodziłam”, zażartowała. Mówiła po francusku w sposób, który wydał mu się doskonały. Zaczęła wciągać rękawiczki: „Bardzo proszę, nie przejmujcie się mną, ale muszę natychmiast wyjść”. Wszyscy się podnieśli. Na ulicy Quim i jego przyjaciel zostali z tyłu, a Valldaura wykorzystał to, żeby zapytać Bàrbarę, czy nie zechciałaby w niedzielę wieczorem pójść z nim na spacer. Bàrbara zwróciła ku niemu twarz i zmierzyła go spojrzeniem szarych, nieco przymkniętych oczu. „Dobrze”, dosłyszał jej cichą odpowiedź. Odniósł wrażenie, że zgadza się z uprzejmości. Kiedy został sam, wszedł do kwaciarni i złożył zamówienie, by każdego dnia dostarczano Bàrbarze bukietek fiołków: takich białych,

raczej liliowych niż fioletowych, dużych. W ogóle nie pachniały, może dlatego, że pochodziły z zimnego kraju.

W niedzielę pogoda dopisała. Valldaura wstał późno i poszedł do fryzjera w hotelu, żeby mu przystrzygł brodę. Spokojnie zjadł obiad. Wysiadając z dorożki przed domem z balkonikami, zobaczył Bàrbarę schodzącą po schodach. Cała w szarościach, z aksamitną peleryną, przybrana paroma fiołkami na piersiach. Kiedy już drzwiczki zostały zamknięte, a Bàrbara siedziała obok niego, Valldaura poczuł, że jest szczęśliwym człowiekiem. Ona, która w dniu ich poznania prawie się nie odzywała, teraz cały czas mówiła, nie patrząc w jego stronę. „Chyba trochę przesadza”, pomyślał Valldaura. Zanim dojechali do Prateru, zdążyła mu opowiedzieć, że mieszka z dziadkami i że jej matka, bardzo ładna, miała włosy sięgające do połowy ud. „Jako pięcio-, sześciolletniej dziewczynce pozwalała mi wchodzić i patrzeć, jak się kąpie, ale gdy zaczynała się ubierać, mówiła, wskazując drzwi: teraz, Bàrbaro, proszę już odejść”. Któregoś dnia przestałam ją widywać i długo, kiedy zostałam sama, szukałam jej wszędzie i przywoływałam cichutko. Uciekła z kimś, kogo pokochała w młodości, i zamieszkała w Italii. O swoim ojcu Bàrbara niewiele wiedziała: dużo podróżował i prawie nigdy go nie widywała. Ale jej dziadek... Pewnego dnia oświadczyła, że chce się uczyć gry na skrzypcach, a on bardzo się ucieszył. „Uwielbiał muzykę”. I nagle zamilkła. Przez dłuższą chwilę słyszeli tylko stukot końskich kopyt. „Co jej się stało, dlaczego mi to wszystko opowiada?”, za-

stanawiał się Valldaura. Przemierzali niemal pustą aleję; słońce przyblakło, zrobiło się chłodno. Z bocznej alejki wyjechali dwaj konni oficerowie w mundurach w kolorze jasnego nieba. Ten bliżej nich podtrzymał swoje kepi ręką i pochylił się, żeby zajrzeć do ich dorożki. Ten drugi, z monoklem, coś mu szepnął i obaj się roześmieli. Bàrbara przez chwilę śledziła ich wzrokiem: „Mój dziadek był wojskowym i jeszcze pamiętam, jak po kryjomu odrywałam mu guziki od munduru”. Obróciła się do Valldaury i wskazując fiołki na sukni, oświadczyła: „Pierwszy raz ktoś mi podarował kwiaty”. Valldaura chciał ująć jej rękę, ale pomyślał, że lepiej nie płoszyć dziewczyny, i zaczął opowiadać o Salzburgu. Bàrbara się uśmiechnęła: „Czasem się zniechęcam, ponieważ myślę, że nigdy nie będę dobrze grać na skrzypcach”. Chwilę później Valldaura zatrzymał dorożkę, bo już podjechali pod Lusthaus. Nie chciała wejść do środka. „Chętnie bym się przeszła; od tak dawna nie odwiedzałam tego miejsca...” Znajdowali się na środku dużej okrągłej polany otoczonej ze wszystkich stron lasem i weszli na drózkę z ubitej ziemi biegnącą między wysokim zielskiem zwarzonym przez przymrozki. Usłyszeli trzepot skrzydeł: to dwa spłoszone ptaszki, które sfrunęły z gałęzi, narobiły hałasu. Bàrbara się przestraszyła, a wtedy Valldaura wziął ją pod rękę. „Proszę się nie bać, to tylko ptaki”. Roześmiała się. Valldaura nie widział dotąd twarzy, którą śmiech przemieniałby do tego stopnia; wydawała się inną dziewczyną, w jej oczach pojawił się jakiś zły błysk. „Przychodziłam tu czasami z dziadkiem. Widzi pan tę skałę, tam niżej?

Zawsze się na nią wspinałam. Potem szliśmy nad rzekę, tu blisko... Ale tylko przy ładnej pogodzie, kiedy drzewa pokrywały się liśćmi, a ziemia – miękką trawą”. Rozkoszna. W tym momencie zapragnął stać się Bogiem. „Żeby na wszystkich drzewach rozwinęły się liście i żeby zakwitły wszystkie kwiaty”, pomyślał uśmiechnięty. Nie odejście z tego lasu, póki jej nie pocałuje. „Bàrbaro...”, wyszeptał. Ona zdjęła z sukienki jeden fiołek i podała go, patrząc mu prosto w oczy. Valldaura pochylił się nad jej ustami. Pomiędzy gałęziami prześwitywało prawie białe niebo, a od strony rzeki zaczynała unosić się mgła. Bàrbara chwyciła kamień i z gniewem cisnęła go daleko przed siebie. „W dzieciństwie myślałam, że mogłabym zabijać ryby kamieniami”. Stali jedno naprzeciw drugiego i Valldaura wpatrywał się jej w oczy; tęczęwka cętkowana, ciemniejsza żrenica, niebieskawa biel rogówki... Bez słowa ujął jej twarz w dłonie i pocałował. Powoli wracali do dorożki. Zanim ją odwiózł do domu, zapytał, czy nie zechciałaby z nim pojutrze zjeść kolacji. Bàrbara się zgodziła.

Maître otworzył drzwi i wprowadził Valldaura do saloniku z niskim sufitem, wytapetowanego taką samą tkaniną jak zasłony. W głębi, częściowo ukryta za parawanem, znajdowała się kanapa z mnóstwem poduszek, a nad nią duże lustro. Valldaura podszedł bliżej i zauważył na lustrze dwa białe ślady palców. „Nie ma pan pomieszczenia z czystym lustrem?” Maître zaczął się kajać: niemożliwe, wszystko zajęte, ale zaraz każe oczyścić, to zajmie parę sekund. „Szybko, szybko”, poprosił, kiedy maître wrócił

z kelnerem. Valldaura wyszedł na korytarz. Gdyby Bàrbara przyszła właśnie w tej chwili... Maître i kelner mieliby się z pyszna. Valldaura czekał dłuższą chwilę. Chodził w tę i z powrotem i pilnował, czy wszystko jest jak należy. Zatrzymał się przed stołem: okrągły, na nim dwa srebrne świeczniki, obrus aż do ziemi. Zielone kieliszki miały różowe nóżki. Doskonale. Pukanie do drzwi; pokojówka zaczyna powoli zapalać świece. Nim skończyła, pojawiła się Bàrbara. Valldaura spojrział na nią nieco zaskoczony: Bàrbara, ładniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, od stóp do głów ubrała się na czarno.

Bàrbara przechyliła kieliszek i wypila ostatni łyk szampana. Wstała od stołu i przecierając czoło ręką, ruszyła w stronę kanapy. Jeszcze do niej nie dotarła, gdy nagle się zatrzymała, odwróciła tyłem i krzyknęła: „Błagam, tylko nie to lustro”. Oczy błyszczały jej jak w gorączce. Valldaura zapytał, czy coś jej dolega. „Nie, to nic takiego”. Ale potrzebowała jeszcze chwili, żeby się uspokoić. Potem mu wyjaśniła, że kiedy matka ich porzuciła, czasami śniło się jej, że jakiś głos woła po cichu: „Bàrbaro!”. I że wtedy wchodziła do środka lustra w takich samych złotych ramach jak te i już nie mogła się z niego wydostać. Valldaura nie wiedział, jak się zachować. Rozejrzała się wokół siebie, sięgnęła po płaszcz i wspinając się na palce, zakryła całą szklaną powierzchnię. „Gotowe”. Usiadła i zaczęła wyciągać szpilki z fryzury. Valldaura podszedł do niej i odgarnął jej loki z twarzy. „Masz takie jasne, długie włosy”. Bàrbara zaczęła się śmiać i przesunęła pal-

cem po jego policzku, mocno, jakby chciała zostawić na nim znak: „Człowiekowi po śmierci włosy nadal rosną, nie wiedziałeś?”. Rozpięła bluzkę i odchyliła się do tyłu. Poczuli, że chwyta jego dłoń i kładzie na swojej piersi.

Dwa dni później Quim go odwiedził i pokazał gazetę: Bàrbara popełniła samobójstwo. Utopiła się w kanale.

Spędził kilka miesięcy, nie mogąc uwierzyć, że Bàrbara nie żyje; wyobrażał sobie, że ją spotka któregoś popołudnia w parku, wieczorem w jakiejś kawiarni. Nogi same go prowadziły do miejsc, gdzie byli razem. Kiedyś w muzeum zatrzymał się przed obrazem Świętej Rodziny Bronzina i serce zabiło mu mocniej: zobaczył Madonnę niesłychanie podobną do Bàrbary: ten sam łuk brwi, taki sam owal twarzy, szyja jak marmurowa kolumna, włosy z przedziałkiem, głowa lekko pochylona. Chodził tam codziennie. Po południu spędzał godziny w hotelu, siedząc u drzwi balkonu, i choć patrzył przed siebie, nie widział nawet okien domu z naprzeciwka. Lekarz stwierdził, że jeżeli chce się wydobyć z przepaści, w jakiej się znalazł, powinien trochę się rozerwać. W ambasadzie dużo o nim mówiono. Quim Bergadà opowiedział o Bàrbarze i wszyscy się obawiali, żeby Valldaura nie popełnił jakiegoś głupstwa. Przenosiny do Paryża trochę mu pomogły, ale zimą znów podupadł na duchu. Na Świętego Szczepana, kiedy się wybrał do Barcelony, Rafael Bergadà, brat Quima, osobiście przedstawił mu wdowę po finansistcie Nicolau Rovirze, ładną i sympatyczną; nazywała się Teresa Goday.